

Bajki nie bajki



STIEPAN PISACHOW

Stiepan Grigorjewicz Pisachow (1879-1960)

– pochodzący z Archangielska rosyjski pisarz, etnograf, malarz i narrator ustny. Przez wiele lat był nauczycielem rysunku. Popularność zdobył jako autor bajek.

Jego pierwszą bajkę – „Nie podoba się – nie słuchaj” – opublikowano w 1924 roku w zbiorze „Na Północnej Dwinie”. Kolejne drukowano w miejscowych gazetach, a w latach trzydziestych utwory Pisachowa regularnie publikowało moskiewskie czasopismo „30 dni”. W 1938 r. w Archangielsku wydano jego pierwszą książkę, a w 1939 r. przyjęto go do Związku Pisarzy ZSRR.

Pisachowskie bajki, których akcje osadzone są na rosyjskiej północy, w okolicach Archangielska, oczarowały czytelników niepohamowaną fantazją i językiem. Utwory są wesołe, błyskotliwe, często satyryczne, pełne żywego, soczystego dialektu pomorskiego.

W 2008 roku w Archangielsku otwarto Muzeum Pisachowa, w którym prezentowane są m.in. jego obrazy z nurtu malarstwa arktycznego. W 2009 r. w mieście stanął jego pomnik.

Bania w morzu

Pewnego dnia, dawno temu, wypłynąłem w morze banią. Było to wtenczas, gdy mieliśmy wyruszyć na łowiska. Wszyscy moi towarzysze, kumowie, swaci, bracia i sąsiedzi wspólnie przygotowywali się do wyprawy. A ja w tej godzinie zmęczony i wyczerpany własnymi problemami oraz wszelkiego rodzaju wariackimi wymysłami mojej połowicy, położyłem się na chwilę i zasnąłem, ale na tyle mocno, że nie słyszałem ani krzyków, ani przygotowań, ani rozlegającej się wokół wrzawy.

Wtem, obudziłem się, rozejrzałem – byłem sam, jedyny spośród rybaków, który pozostał w Ujmie. Wszyscy zdążyli wypłynąć, zabrali łodzie, a ja nie miałem nawet najmniejszej łupinki, aby ich dogonić.

Nie zastanawiałem się jednak długo. Zepchnąłem ostrożnie naszą banię do wody, wsadziłem w dach żerdź z zatkniętym dywanikiem, tak, że powstał naturalny maszt z żaglem. Następnie zaadaptowałem stare wrota na ster. Rozpaliłem ogień w bani, buchnęła para, jej kłęby wypuszczałem kominem.

Bania z kopyta ruszyła, minąwszy miasto jak prawdziwy parowiec wyszła w morze, i oto obok naszych ujemskich łodzi przepływając, zaczęła zataczać kręgi, aby mogli ją wszyscy w tym ruchu podziwiać.

W bani, niezależnie od strony, każda krawędź ścienna jest dziobem, każdy bok jak rufa. Odrzwia-ster, też spełniły swoją rolę: to pozwoliło, by bania skręcała i mogła nabierać prędkości.

Dorzuciłem do paleniska, jeszcze więcej pary buchnęło. Niestety sam ze wszystkim się uwijam, bo i kołem sterowym jednocześnie manewruję. Bania przyspieszyła, węglami wodę wyrzuca na wiorstę, wywołując burzę, jakiej nigdy dotąd tutaj nie było, nigdy nie widziano. Wokół, jak spojrzeć, morze spokojne, brzegi martwe, bez ruchu. A pośrodku coś się miota, wzbija pianę, chlapie wodą, dymem wali jak z fabrycznego komina.

Każdy, naturalnie, tym widokiem byłby zaniepokojony. Patrząc z boku, to coś wygląda jak bestia-potwór, albo jak maszyna. Bestia jest przeokropna, ale maszyna jeszcze przeraźliwsza. Z pewnością to upiorny obrazek, jednak nie dla mnie, ani dla moich ujemskich ziomków.

Ryby, rzecz jasna, to naród ciekawski, muszą wszystko wiedzieć, a w łaźni, jak wiadomo, wiadomości są zawsze świeże i nowe. Tak więc, ryby ze wszystkich stron rzuciły się w kierunku bani. Ryby odpływają – a my łowimy je.

W łodziach, oczywiście, łowi się zgodnie z tradycyjnym ceremoniałem połowów, według starych przyjętych zwyczajów. A ja, płynąc banią, zacząłem łapać ryby wedle nowej metody, na tak zwany sposób baniowy. Pobeltam miską w wodzie, ryby myślą: „Zapraszają w gości” i gromadzą się grupkami wokół misy, a całymi ławicami odpływają wprost do bani. Nie mam już wręcz miejsca, by składować rybę: przecież niewiele mogą położyć jej na łaźniowych ławkach.

Zaczęły, więc, łodzie nasze rybackie jedna za drugą zbliżać się do mojej bani. Odławiam rybę misą, napełniam ich beczki i ładownie, na pokładzie ryb już ponad burtę mają, ale wciąż jedne odpływają, a kolejne przyplływają.



ilustracija: Yaroslava Dovgomelya

Tak było na zewnątrz bani, a w jej środku: gorąc, ludzie od pary wodnej spoceni, chłuszczą się jarzębinowymi witkami. Z każdym uderzeniem jarzębinowej miotełki przybywa pary, żar jakby lżejszy, a ciała coraz bardziej wolne duchem.

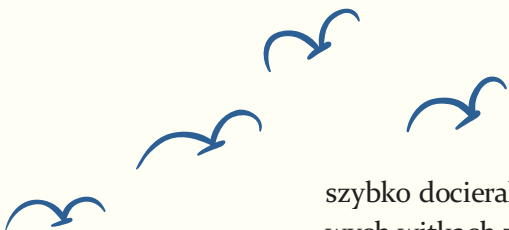
Aby jednak powstający dym nie przepadał na próżno, w kominie urządzono wędzarnię, ale to wymyślono już bez mnie. Ja jedynie nagrzewałem banię i poławiałem ryby.

W krótkim czasie zapelniałem wszystkie łodzie rybami. Łódź jednak, to nie brzuch, nie rozciągnie się i nie rozrośnie, nie można wypełnić jej ponad miarę. Złowiliśmy, zatem, ryb tyle, ile zmieściliśmy w łajbach i ile sami zdołaliśmy zjeść. Resztę pozostawiliśmy w morzu na rozmnożenie. Załadowane łodzie skierowały się w stronę brzegu. Tutaj też, rozstałem się z moją banią, pożegnałem ją uściskawszy klamkę.

Wracaliśmy do domu – usiadłem na rufie w jednej z tylnych łodzi i zacząłem lekko prószyć mąkę na wodę. Mąka na wodzie układała się na wzór równiutkiej ścieżki, ciągnącej się od bani aż do Ujmy. Rzucona na morską wodę mąka momentalnie kwasiała się, tworzyła ścieżkę ciasta.

W ślad za nami podążała zima, uderzył mróz, woda zamarzała. Ścieżka ciasta również zlodowaciała, ciągnęła się od środka morza do samej wioski. Tej zimy biegaliśmy do bani, jeżdżąc na łyżwach po morzu. Ryby wyczuły „chlebowego ducha” ciastowej ścieżki i po obu jej stronach zbierało się ich całe mnóstwo na podobieństwo Ord Mamaja.

Jedziemy do bani – zarzucimy niewody, umyjemy się, wypocimy, odetchniemy morskim chłodem, sieci pełne ryb założymy na narty. Wracamy, machamy rękawicą wiatrowi, wskazujemy z jakiego, sprzyjającego nam, kierunku powinien powiać. Takim to sposobem



szybko docieraliśmy do domu, nim para wodna na naszych łaźniowych witrkach zdążyła się ochłodzić.

Ryby łowiliśmy przez całą zimę, ale wiadomo: z morza nie wylowisz wszystkiego. Tak oto rozpoczęły się i weszły w zwyczaj zimowe połowy.

Wiosną lód zaczął mięknąć, ławice ryb naruszyły ciastową ścieżkę i wody rozniosły ją po wielu ludzkich osadach. Aż do wiosny ciasto w morzu było. Pełnymi łopatami rybacy wrzucali je do pieców. Niezależnie od tego, czy kawałek był upieczony jako bochen chleba, czy też piróg rybny – ryba sama w cieście się pojawiała. Słone dania były wyśmienite: a jak po nich smakowała zwykła herbata!

Od tej chwili, gdy bania zaczęła ogrzewać morze swoim ciepłem i parą, rozpoczęło się ocieplenie: lody pękały rozstępując się, a zimy były bardziej łagodne.

Białe niedźwiedzie

Teraz podróż do Nowej Ziemi nie jest już problemem. Ale w dawnych czasach, kiedy my, rybacy, przecieraliśmy tam drogę i przebijaliśmy ją własnymi ciałami, trud słonym potem był okupiony.

Tym razem, opowiem o pierwszym moim pobycie na Nowej Ziemi i o tym, jak ścigały mnie białe niedźwiedzie – ale to mnie udało się je schwytać.

Przybył, więc pewnego dnia, statek parowy na Nową Ziemię. Wyrzucili mnie na brzeg. I to jak wyrzucili! Zatrzymali się daleko od wybrzeża: nie wiedzieli, bowiem, jak bliżej podpłynąć. Urzędnik, dowodzący parowcem, mówi: – *Nie ma sensu pchać się dalej, do brzegu podchodzić, przerzucimy cię na linie, a za linę odpłacisz się później złowioną zwierzyną.*

Zatem, obwiązali mnie i z rozmachem wyrzucili na brzeg. Na pożegnanie rozległ się dźwięk parowej syreny i okrywszy się białym dymem, statek odpłynął.

Zostałem sam. Brzeg dookoła pusty, jedynie pośrodku widać sterczący głaz. Nieco dalej na skraju lasu morze naniosiło ich więcej. Zaczepiłem linę o kamień, a drugim jej końcem zacząłem wyciągać kłody na brzeg. Tak rozpocząłem budowę domu. Dom piął się coraz wyżej, ale bez okien i drzwi był – nie miałem siekiery, aby je wyciąć. Nie zdążyłem też pokryć go dachem.



Okazało się, że miejsce, w którym zostałem wyrzucony ze statku, przynależało do niedźwiedzi, było ono dla nich niczym zajazd na drodze wędrowca. Ni stąd, ni zowąd, pojawił się niedźwiedź polarny, zauważył mnie, biegnie w moim kierunku, a ja co mam ze sobą zrobić? Miejsce odludne, pustkowie, do domu bez drzwi i okien – też nie wskoczę. Przywiązałem się do końca liny i od niedźwiedzia uciekam naokoło głazu, a niedźwiedź za mną, ile mocy w nogach. Lina się naprężyła, a ja oderwawszy się od ziemi zataczam koła. Niedźwiedź, biegnąc po ziemi, udeptywał sobie łapy, męczył się. Ja spokojny, zarzuciłem nogę na nogę, zapaliłem papierosa, wypuściłem dym i okrzykami niedźwiedzia popędzam. Właściwie mnie wszystko jedno, pęd sam mnie niesie, nawet nie jestem zmęczony, po prostu kręcę się.

Niedźwiedziowi zabrakło sił, upadł, nie może oddychać. Skróciłem linę, pociągnąłem niedźwiedzia za ogon i wrzuciłem do domu bez dachu. Patrzę – znowu niedźwiedź nadchodzi. Postąpiłem z nim w ten sam sposób: pogoniłem trochę, pokręciłem nim póki się nie zmorzył i wrzuciłem do domu. Jeden za drugim niedźwiedzie wyłażą i wyłażą. Przyzwyczaiałem się do takiego obrotu spraw, więc wyłapywałem je po kolei. Do przybycia jesiennego parowca – niedźwiedzi była cała setka!

Przybyły urzędnik wziął się za rachunki: liczył, przeliczał, w efekcie rozliczył mnie i za ziemię, i za wodę, i za wszystkie sto niedźwiedzi. Dał mi jednego piątaka. Dał piątaka, ale za chwilę dwie kopiejki z groszem zabrał na budowę gospody i powiada:

– Doceń naszą troskę o was, chłopów. Tutaj na pustkowiu postawimy wam karczmę i ulokujemy księdza z dzwonem. Jednak dopiero wówczas, gdy od was pieniędzy na ten cel nazbieramy.

Wiedziałem, że urzędnicy słuchają prostych ludzi tylko wtedy, gdy mogą czerpać korzyści. Zachęciłem, więc, urzędnika do samo-



ilustracja: Olesya Moiseyenko

dzielnego łapania niedźwiedzi. Urzędnik nawet nie dosłuchał do końca moich instrukcji, żądny zysku, szybko obwiązał się liną – i pobiegł wprost do głazu! Zachęcałem go słowami:

– Biegnij szybko, panie urzędniku, jak tylko niedźwiedź cię zobaczy, pobiegnie za tobą.

Ale sezon na niedźwiedzie w tym miejscu właśnie dobiegł końca. Urzędnik skoczył, lina się naprężyła, wyniosła go wysoko. Zamiast niedźwiedzia nadciągnął wiatr z burzą i piorunami. Przyznać jednak muszę, że wcześniej nadciąłem troszkę linę: Jaaak nie szarpnie urzędnikiem! Lina pękła.

Urzędnika porwało. Nad morzem poniosło. Do Norwegii, do miasta Vardø, gdzie w towarzystwie piorunów i błyskawic, z nieba na sam środek miasta spadł. Norwegowie byli przerażeni.

– Andeli, co to jest? – krzyczą – nie inaczej jak tylko niebiański mieszkaniec z raju!

Pop norweski w dzwon uderzył, pomachał kadzielnicą i udał się do urzędnika. Gawiedź, zaś, czeka na pozwolenie pocałowania niebiańskiej istoty.

W tym momencie urzędnik ocknął się, odzyskał przytomność, a rozejrzawszy się, jak nie zawrzesczy na popa i zebranych Norwegów. Tamci słów nie rozumieli, ale domyślili się, co krzyczy. Mówią do popa:

– Jeśli tacy są mieszkańcy raju, to my do królestwa niebieskiego nie chcemy!

Norweski policjant spojrział na gościa, poczuł zapach wina, dostrzegł błyszczące guziki, rozpoznał w nim urzędnika i mówi:



– Potrzebujemy takich, jak ty: urzędnicy dla nas, policjantów, są pomocni; naród, bowiem, trzeba w strachu trzymać i kapitał jego kosztem pomnażać.

Na co pop norweski wykrzykuje swoje:

– Za nic, nigdy w życiu nie oddam tego świętego. W naszych kościelnych sprawach urzędnik potrzebny jest jeszcze bardziej. Poza tym, wy, policjanci, bez nas, popów, z ludźmi nijak nie poradzicie sobie. Za sprawą tej świętej osoby wspólnie zbijemy niemały majątek.

Urzędnika nagle poderwało w górę – a mnie na duszy od razu jakby lżej. Zepchnąłem swój dom na wodę. Dobrze, że nie miał okien i drzwi, bo przynajmniej woda nie wdzierła się do środka. Niedźwiedzie – oczywiście całą setkę – zaprząłem jak konie do wozu, po czym ruszyłem przez morze szybciej, niż nie jeden parowiec. Ale wiadomo, parostatki muszą trzymać się wodnego szlaku, a ja czy płynę po wodzie, czy po lądzie sunę, dzięki moim niedźwiadkom prędo przodu. Do spodniej części domu przybiłem jeszcze drewniane prowadnice z bali i to też pomogło w jeździe.

Spójrz, to jest właśnie ten dom, w którym siedzimy. Dotknij ręką, tupnij nogą – prawdziwy, z najprawdziwszego drewna. Sprawdź, a będziesz wiedział, że mówię prawdę.

Niedźwiedzie, to istoty temperamentne, ruszać się lubią, pozwól im tylko. Dlatego też kolejny raz, zaprząłem swój pojazd i pojechałem do miasta. Za pokazy i niedźwiedzie przedstawienia pieniądze brałem, a i sprzedawałem je. Jednego z niedźwiedzi zakupiono, by wysłać do Norwegii, jak powiedzieli: „Urzędnik kazał go kupić”.

Zrobiło mi się żal Norwegów, że wciąż ze świętym się „męczą”, ale pomyślałem: „Pocierpią, to w końcu pójdą po rozum do głowy”.



Jak niedźwiedź nas od najazdu popów uratował

Wjechałem do lasu. Wczesnym rankiem i przy pierwszych promieniach słońca każde miejsce wydaje się wyjątkowe. I drzewa, i krzewy, i każda trawka „prostuje się”, rozwija, uśmiecha i pozdrawia. Ptaki i wszelkiego rodzaju zwierzęta celebrować ten moment każde na swój sposób.

Ja, być może, długo jeszcze patrzyłbym na poranną celebrę natury (w końcu każdy dzień jest inny), gdyby nie to, że nagle dostrzegłem nasze wiejskie gospodynie spieszące na grzyby i jagody, podążające znanymi dobrze im ścieżkami, prześcigające się w tym współzawodnictwie. Każda z nich starała się być z przodu, na czele grupy i zawłaszczyć tylko dla siebie obfitujące w jagody lub grzyby miejsca.

Pomyślałem, że na nic zdadzą mi się ich jagodowiska i grzybne gaiki – znajdę swoje. Skierowałem się aż za mokradła, gdzie nie da się przejść ni suchą nogą, ni łódką dopłynąć. Grzybów tam w brud, za-trzęsienie! Są to miejsca naprawdę dziewicze, gdzie grzybnia nie rwana i nieuszkodzona. Grzyby rosną w ogromnych skupiskach, kupami, na całych połaciach ziemi. Ledwie machnąłem ręką, a już miałem zebrane dwa podwójne kosze.

Maszerując żwawo, wróciłem do wsi. Zachodziłem do domów naszych gospodyń, na progu kładłem naręczą grzybów. O własnej po-

łowicy też nie zapomniałem – jej dałem ich najwięcej.

Zawróciłem do lasu. Tym razem pobiegłem na tereny jagodne. W nietkniętych przez człowieka miejscach, na niepołamanych przez nikogo krzaczkach – jagód było, a jagód – po prostu mnóstwo! Zabrałem się do roboty. Zaledwie wyciągnąłem dłoń, a w garści – jeśli liczyć na pudry, to może ze dwa, ale co tam dwa – to mało, realnie oceniając – pięć pudrów jagód już miałem! Bez zbędnego pośpiechu, tak aby nie zgnieść jagód, zbierałem je delikatnie dłońmi, a potem wszystkim gospodyniom we wsi nasypałem po dobrej, pięciopudowej garści. Swojej pani domu także.

Usiadłem na stryszku nad chlewikiem, gdzie trzymaliśmy paszę i siano. Wcale nie czułem się zmęczony, nogi też nie bolały, zamachałem jedynie rękami, aby porozciągać się troszkę.

Tymczasem gospodynie wracały do domu zmęczone, złe, kłócąc się, lecz kiedy spostrzegły grzyby i jagody na progu swoich chat, rozpromieniły się, ich głosy nabrały czułego brzmienia, jakby piosenkę nuciły, nawet ze swoimi chłopami już nie kłóciły się.

W całej wiosce jedynie popadła awanturowała się, wyklinała swojego Siwołdaja, że bez jagód i grzybów została. Trochę to zabawne, lecz nie mieszać nam się w cudze sprawy.

Pop Siwołdaj był bardzo niezadowolony z takiego obrotu spraw. Jak to! Cała wieś w zgodzie, caluśka wieś z jagodami, z grzybami, a on – pop, ze swoją swarliwą żoną na głowie został?

Zawinął się, zatem, pop Siwołdaj i pojechał do miasta. A tam cudzym dobrem zaczął się chwalić. Wszystkim protojerejom i popom opowiadał, jakie to w okolicach Ujmy są grzybodajne lasy i jagodowiska. Jagód i grzybów tyle, że ich nie zbierzesz. Popowie, usłyszawszy nowinę, jak jeden mąż zakrzyknęli:

– Jeśli my przyjedziemy, wszystko wybieramy. Prócz nas nikt już nic nie znajdzie. Po nas ani jagódka, ani grzybek się nie ostanie!

Kiedy odpocząłem chwilę, powróciłem do lasu, gdzie wypatrzyłem niedźwiedzie w gawrach. Postanowiłem doprowadzić do ich legowiska linię telefoniczną. Albowiem, jeśli na polowanie się wybierasz, to najpierw wypada dowiedzieć się, czy jest ktoś w domu, aby na próżno nie tracić czasu i samemu nie zmęczyć się zbytnio.

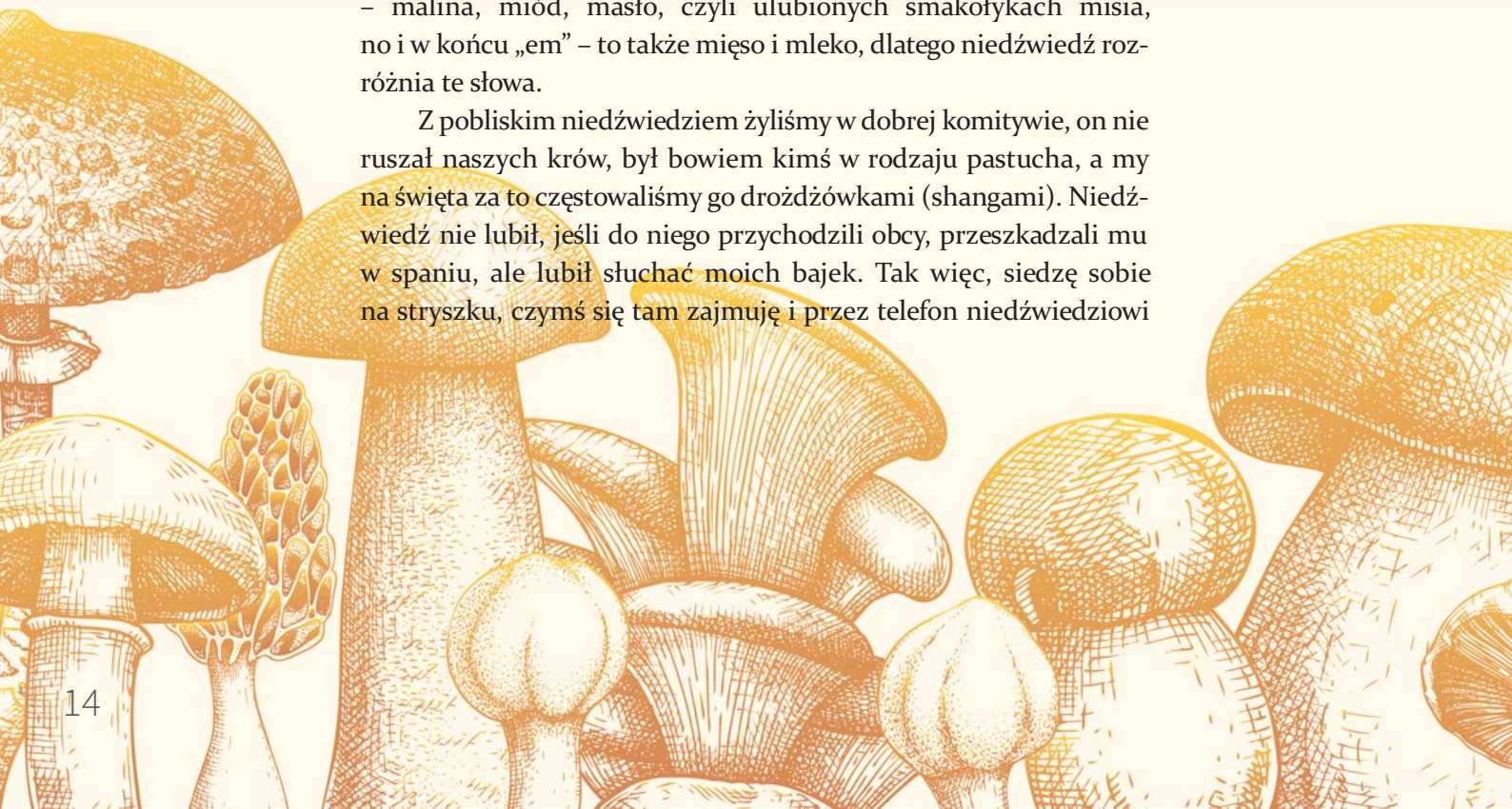
Często rozmawiałem z pobliskim niedźwiedziem. Dzwoniłem do niego ze stryszku nad chlewikiem, a ponieważ niedźwiedź był sam, nie mógł się wymigać od rozmowy, zatem mamrocze:

– *Mmm?*

– *Misiu, to ja – mówię – Malina.*

– *Mm.* To znaczy: słucham. Niedźwiedź aktywnie słucha, pod warunkiem, że zaczniesz rozmowę od litery „em”. Po pierwsze, on sam jako miś, to „em”, a po drugie, „em” występuje w wyrazach – malina, miód, masło, czyli ulubionych smakołykach misia, no i w końcu „em” – to także mięso i mleko, dlatego niedźwiedź różni te słowa.

Z pobliskim niedźwiedziem żyliśmy w dobrej komitywie, on nie ruszał naszych krów, był bowiem kimś w rodzaju pastucha, a my na święta za to częstowaliśmy go drożdżówkami (shangami). Niedźwiedź nie lubił, jeśli do niego przychodzili obcy, przeszkadzali mu w spaniu, ale lubił słuchać moich bajek. Tak więc, siedzę sobie na stryszku, czymś się tam zajmuję i przez telefon niedźwiedziowi



snuję bajkę – bez słuchacza, bowiem, bajka nic nie warta. Niedźwiedź słucha, a ja bajki układam.

Było tak, że niedźwiedź nas od najazdu popów ocalił. Umyślili sobie bowiem miejsca popi, by do nas po jagody i po grzyby jechać. Od ich bezliku droga zrobiła się czarna, tyłu ich szło. Przybyli wieczorem, a rano, jeszcze przed świtem, do chronionych przez nas miejsc, jak ciemna pełzająca chmura, ruszyli.

Zadzwoiłem do niedźwiedzia, on akurat będąc syty, spał jeszcze, sennie, lecz uprzejmym głosem odpowiedział:

– *Hmm?*

– *Misiu, misiulku, grubasku, postrasż popią ordę, udała się do naszego lasu na grzyby; popi chcą wszystkie maliny zebrać, tobie nawet jagódki nie pozostawią.*

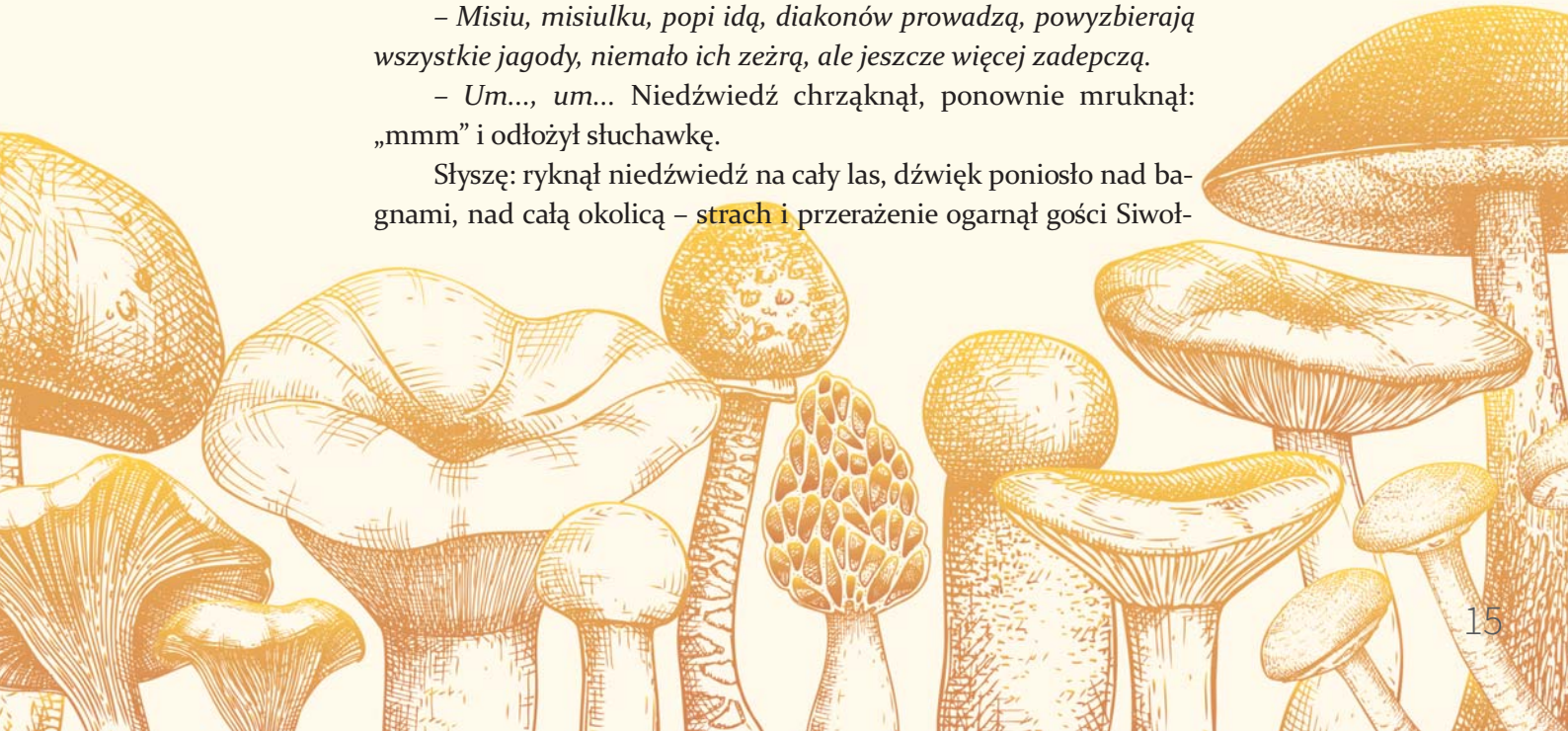
Niedźwiedź, słysząc to wyraźnie, drapie się po sytym brzuchu, jest zbyt leniwy, żeby wyjść:

– *Mmm...*

– *Misiu, misiulku, popi idą, diakonów prowadzą, powyzbierają wszystkie jagody, niemało ich zeżrą, ale jeszcze więcej zadcpczą.*

– *Um..., um...* Niedźwiedź chrząknął, ponownie mruknął: „mmm” i odłożył słuchawkę.

Słyszcie: ryknął niedźwiedź na cały las, dźwięk poniosło nad bagnami, nad całą okolicą – strach i przerażenie ogarnął gości Siwoł-



dajewych. Wybiegło czarne stado z lasu, popi potykając się o wyboje, zaczepiając o krzaki, długie poły szat obrywając, zapadali się w wilgotnych miejscach, przewracali w suchych iglakach. Niedźwiedź tylko pięć do dziesięciu razy lekko chwycił się łapą za zad, i to bardziej markując ruch i żartując sobie z popów, albowiem był pełen. A jaki krzyk wówczas się podniósł! Coś straszego!

Popi na mnie do sędziego skargę złożyli, ale poskąpili przy tym, bo do skargi nie dołączyli, jak należało, maślanego albo pieniądze datku. Sędzia był na nich zły, ledwo czyta pismo, ledwo słucha. Musiałem i ja pojechać do miasta. A co mi tam: zawezwali – przyszedłem, przecież to nie ja skargę złożyłem, nie mnie łapówkę dawać. Sędzia pyta ze złością:

– Ty niedźwiedzia przez las ganiałeś, niedźwiedziem popów straszyleś?

Moja odpowiedź była prosta i krótka:

– W tym czasie moja noga na ziemi nie postąpiła, ze stryszku nad chlewikiem nie schodziłem, kogo chcesz pytać – wszyscy powiedzą to samo.

Sędzia zwrócił się do popów:

– Czy prawdę mówi Malina, że był na stryszku?

Wówczas naczelnym protopop rękami zamachał i zgromadzeni popi odpowiadając zaśpiewali:

– Zgadza się, to prawda!

Sędzia całkowicie się rozgniewał, popom dokończyć śpiewu nie pozwolił, księgą prasnął, pieczęć przystawił.

– Jeśli to prawda, to nie lećcie w nie swoje sprawy, w nie wasze miejsca. Nie łascie się na cudze dobro.

Chcieli popi, co prawda, zwymyślać sędziego, ale się grzywny przestraszyli.



Ilustracija: Polina Popova

Modniś i modnisia

Zastanawiałem się onegdaj, jak zdobyć jedyną, pozostałą na drzewie pomarańczę. W świąteczny dzień, przy spokojnej pogodzie, podpłynąłem łodzią do drzewa pomarańczowego. Patrząc, a w pobliżu drzewa, również w łodzi, kręci się pewna para: modniś i modnisia. On wysuszony, ubrany obciśle i mocno opięty, jak cieniutkie źdźbło trawy wyglądał. Za to ona rozłożysta ponad miarę, spódnicę upiętą na obręczach miała. Strojnisia stęknęła:

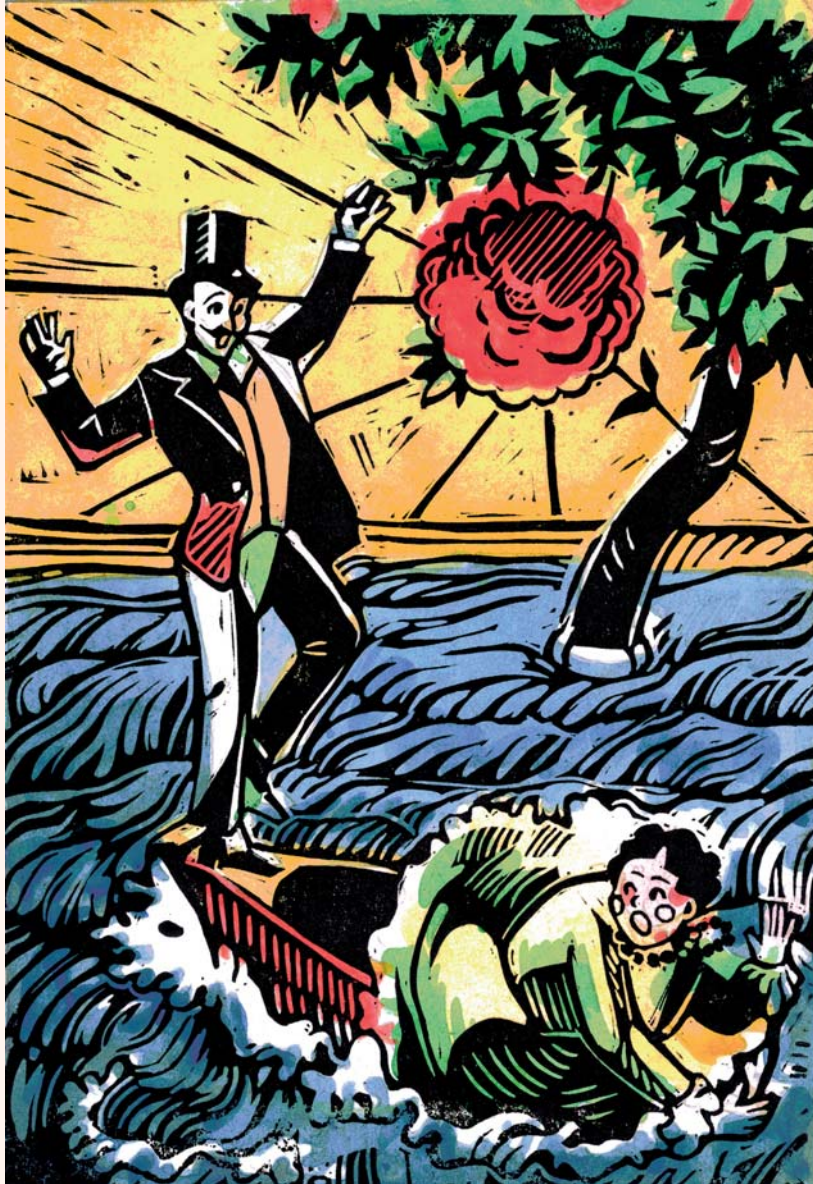
– Och! Jakż mam ochotę na pomarańczę! Ach-ach! Nie wytrzymam, nie mogę się bez niej obejść!

Frant odpowiada:

– Dla Pani, pomarańcza? Już się robi!

Wstał „elegancik” i jak sprężyna na swych cienkich nogach podskoczył. Nie dosięgnął jednak pomarańczy, spadł na rufę łódki. Za to łódź z silnie podrzuconym nagle do góry dziobem wypchnęła z impetem elegantkę za burtę. Ta nad wodą fiknęła, gruchnęła do niej w swej spódnicy z obręczami, zakręciła się jeszcze, całkiem przypominając pływające zwierzę! Mężczyźnie udało się w łodzi usiedzieć, swej damie linę rzucił i wzdłuż miejskiego nabrzeża na holu ją pociągnął.

Strojnisia przybrała czarujący wyraz twarzy, rączką macha i tak głośno mówi:



ilustracija: Anastasia Popova

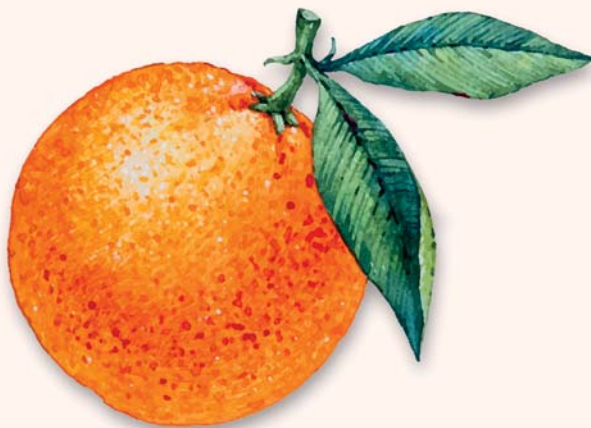
– Teraz już nie lubię łodziami pływać, to zbyt zwyczajne zajęcie, jakże interesująco jest samodzielnie w pojedynkę chodzić po rzece!

Miejskie elegantki zareagowały natychmiast, namiętność nimi o władnęła, aby tak samo pływać i słodkim głosikiem oraz podobnymi słowami spacerujących na brzegu drażnić. Modnisie dziesiątkami do wody wskakiwać zaczęły.

Ci, którzy wtenczas bezrobotni byli, zarobili niezgorzej, bowiem mokre kobiety z wody hakami wyciągali. Całkiem zabawnie było, jak na jarmarcznym przedstawieniu.

Wróciłem do drzewa pomarańczowego, przygiąłem gałązkę i zerwałem pomarańczę. Nadchodził wieczór, rzeka ucichła, woda uspokoiła się, rozświetliła. Niebo w wodę patrzy, podziwia swe oblicze. Zacząłem obierać pomarańczę bez pośpiechu, z zadumą. Także ja, jak rzeka w tej godzinie, cichy stałem się.

Obrałem pomarańczę, spojrząłem, a w rękach mam tylko skórki. Widocznie ponownie w zamyśleniu pomarańczę do wody wrzuciłem. Chyba znowu odłożyłem ją na później.





O tym, jak na rzece porządek zaprowadziłem

Jak dobrze poranną porą przeciągnąć się – kości się wyciągają, człowiekowi sił przybywa. Oparłem się zatem stopami o belkę stryszku.

Zaraz potem postanowiłem pójść nad rzekę, aby zobaczyć, jak toczy się tam życie. Okazało się, że w rzeczonym chłodzie wody panował wielki bałagan.

Szczupaki zębate, z ogromnymi gardzielami, gonią naokoło małe rybki, pożerają je, połykają, jak wodni policjanci, a i pozostałe duże ryby również polują na nie. Wsadziłem ręce do wody i dawał szczupaki z wody na moje podwórko wyrzucać! No cóż, łososia i jesiotra-sterleta – też nie oszczędziłem, odławiałem je. Jeśli drapieżników w wodach mniej – drobnym rybom łatwiej się żyje. Rybki były zachwycone, koło mnie kręcą się, swoim ruchem wyrażają mi wdzięczność, a i same bawią się bez strachu, pływają, nurkują nie oglądając się za siebie.

Umyśliłem sobie małym rybkom sprawić jeszcze większą radość. Jedną rękę włożyłem do wody, a drugą sięgnąłem po rosnące na brzegu krzaki maliny, zanurzyłem je w wodzie i na dnie rzeki posadziłem.

Ta odmiana rybom bardzo się spodobała, zasmakowała wręcz: jagody malin traktowały jako pożywienie, a krzewinki – miejsce, w którym przed szczupakami można się skryć. Od tego czasu ryby zaczęły nam pomagać w rybołówstwie. Gdziekolwiek się udaliśmy, rybki wskazywały miejsca, gdzie powinniśmy zarzucić sieci. Nasze połowy stały się obfite i dochodowe.

Policyjni urzędnicy, słynący z chciwości na cudze dobro – i tej sprawy nie przegapili. Przyjechali do nas na ryby. Niewód zarzucili do rzeki, ryby łowią w naszej wodzie, a my ani słowem nie śmiemy się odezwać.

Tymczasem małe rybki zebrały się gromadnie w trakcie urzędniczego połowu i hurmem powpychały do niewodu wszelkie śmieci z dna rzeki: były tam kamienie, pniaki, kłody, błoto – wszystko to, co było po prostu zbyteczne. Rzeczne dno, podobnie jak promenadę, dla swobodnego spacerowania i zabawy oczyściły.

Urzędnicy mozolnie wyciągnęli sieci, wyrzucili śmieci na brzeg, ale nie zrezygnowali z połowu, drugi raz zarzucili niewody. Rybki i tym razem przygotowały się: krzaki maliny o listki i cienkie gałązki zaczepiły, przyginając je ku dnu rzeki, a cierniste gałęzie krzewu wygięły ku górze. Ciągnęli urzędnicy sieci niewodowe po dnie, zaczepili je o ciernie, porwali i wyciągnęli same strzepy. Wydali wówczas zarządzenie: „*Na tym bezrybiu wolno łowić bez przeszkód, do woli*”. Wtedy do oczyszczonej wody wiele ryb przyplłynęło – nam się to, oczywiście, podobało, że aż miło, że aż serce rosło.

Krzewy maliny, które na dnie rzeki rosły, zupełnie inaczej wzrastały, niż na suchym lądzie. Otóż, ilekroć jagody dojrzewały, z dna rzeki nalewka malinowa zaczynała wypływać. Nabierano ją wyłącznie z rana.

Gdy tylko słońce zaświeci, gdy tylko ciepłem powieje, mgła nad spokojną rzeką się ściela. Jednak w pewnym miejscu rzecznej ta-



Ilustracija: Albina Abaidullova

fli nagle coś zaczyna bulgotać, zaczyna bryzgać, całkiem jakby samowar się gotował – to tu właśnie bierze swój początek malinowy eliksir. Przyjeżdżaliśmy w „źródlane” miejsce z kadziami i beczkami, nalewkę malinową nabieraliśmy pełnymi chochlami. Beczki z nalewką, po czterdzieści wiader każda, do wszystkich naszych domostw przytoczyliśmy, a i dodatkowe zapasy w cebrach zrobiliśmy. Na nalewce malinowej gotowano kisiele, kwasy rozrabiano, syropem malinowym maluchy pojono, a dorośli po dodaniu chmielu prawdziwie winną nalewką się raczyli. Warto jednak dodać, że po nalewce od pijaństwa głowa nie bolała, a i rozumu ona też nie pozbawiała.

Oto taka dobroć i harmonia ze zgodnego życia płynęła. Ja małym rybkom życie uładziłem, a one mi odplaciły w trójnasób. Mam teraz ryby, mam nalewkę, a kiedy pójde sobie popływać i w wodzie zanurkuje – nie wpadam na żaden kamyk – wszystkie niepotrzebne kamienie małe rybki w policyjne, urzędnicze sieci powrzucały.



Zestaw kolorowanek do bajek

Stwórz swoją ilustrację



Bania w morzu (Yaroslava Dovgomelya)



Bania w morzu (Darina Zhukova)



Białe niedźwiedzie (Olesya Moiseyenko)



Jak niedźwiedź nas od najazdu popów uratował (Polina Popova)



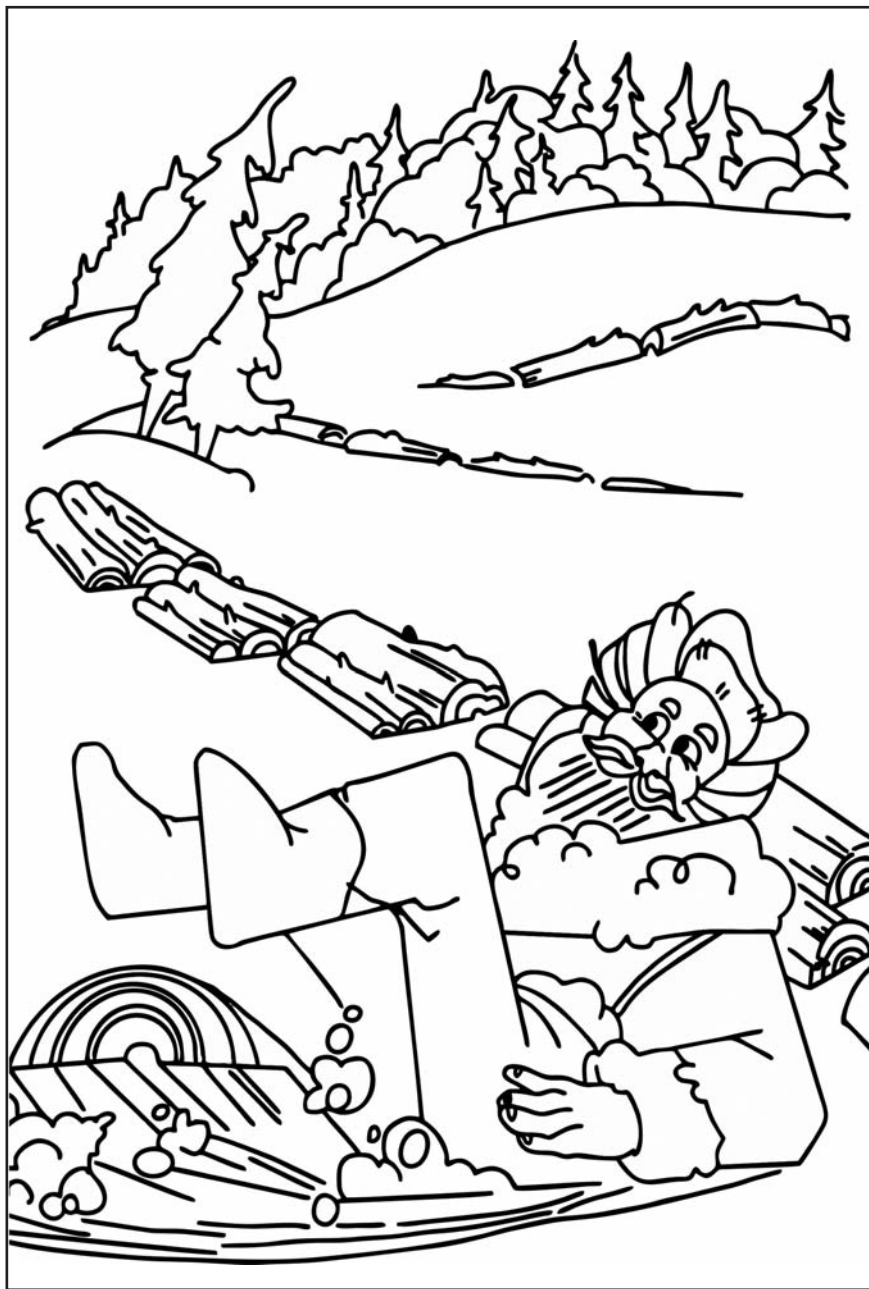
Modniš i modnisa (Anastasia Popova)



O tym, jak na rzece porządek zaprowadziłem (Albina Abaidullova)



A wszystko przez pchtę (Irina Karpova)



Aby samego siebie nie obudzić (Svetlana Varlygina)



Jak po dorszach w morzu chodziłem (Vladislav Poleschuk)



Jak to jednocześnie w dwóch miejscach gościłem (Dmitrii Sazhin)



Jak kupcowa pościła (Anna Yermolina)

A wszystko przez pchłę

Bagna w naszych stronach są duże, grząskie, ale pełne jagód. Za bagnami rośnie ich dużo więcej, niż w pobliżu wsi, są tam też grzyby i gdyby tylko droga była przejezdna, to wozami można by je wozić.

Jedno z bagien będzie miało około pięćdziesięciu wiorst. Na całej długości wyłożono je deskami: jedna za drugą. Trzeba stąpać po nich bardzo ostrożnie. Ale ja, aby wyprzedzić innych i być pierwszym po drugiej stronie mokradła, bez zbędnej przezorności wskoczyłem na deskę. Jaaak deska ta podskoczyła! Oczywiście nie tylko ona jedna, ale wszystkie na powierzchni pięćdziesięciu wiorst uniósłszy się, stanęły na sztorc nad grzęzawiskiem.

Co tu robić? Tonąć w trzęsawisku nie zamierzałem, więc wziąłem się pod boki na modłę osęki, i polazłem w górę. Wspiąłem się na wierzchołek desek. Jaka tu przestrzeń! I widok wyraźniejszy i o wiele dokładniejszy niż z powierzchni ziemi.

Na dół było z pięćdziesiąt wiorst. Patrząc – dom mój stoi, widać go jak na dłoni. Oddalony byłem od niego o jakieś piętnaście wiorst, jeśli liczyć po ziemi. Tak, dom stoi. Na ganku kot drzemie, a na jego nosie siedzi pchła. Jak znakomicie wszystko widać!

Siedzi pchła i lewą łapką w nosie dłubie, a prawą – drapie się po boku. Taka złość we mnie wezbrała, że pogroziłem pchle palcem, a ona mrugnawszy i uśmiechnawszy się, powiada:



ilustracija: Irina Karpova

- Złap mnie!

Nie wiedziałem nawet, że pchły mrugać i uśmiechać się potrafią. Cóż, gdybym był bliżej, rozmowa z pchlim gatunkiem byłaby krótka – raz i po wszystkim.

Wtem kot kichnął. Pchła ciemieniem uderzyła o ganek i straciła przytomność. Przybiegły inne pchły, chorą zabrały. Podczas gdy ja tak afektowałem się, machając rękami, deski na których stałem, straszliwie zabujały się. *„Ach ty, myślę sobie, przez pchłę mam się w błocie taplać – to przecież wstyd”*.

Nie miałem, jednak, za co się chwycić. Nagle widzę – nieopodal chmura przepływa, blisko nad moją głową, ale nie mogę jej dosięgnąć. Chwyciłem linę – zawsze ją mam przy sobie, tak na wszelki wypadek; zrobiłem pętlę i zarzuciłem na chmurę. Przyciągnąłem do siebie. Usiadłem i popłynąłem okrakiem na chmurze! Wygodnie było, mięciutko.

Chmura dotarła do wioski, przepłynęła nad nią. Czas, żebym zszedł na ziemię. Przejeżdżałem obok bani, a tuż-tuż rósł dziki czosnek. Wolny koniec liny zaczepiłem o niego. Podciągnąłem się. Trzymam chmurę na linie. Jeden jej brzeg do kociołka na gorącą wodę wcisnąłem, drugi – do kadzi na zimną, co by później oblewać się. Resztę chmury wypuściłem na znak wdzięczności.

Chmura pamięta dobre traktowanie. Daleko, więc, nie odpłynęła: nad moim ogrodem rozciągnęła się, przynosząc lekki deszcz.

Aby samego siebie nie obudzić

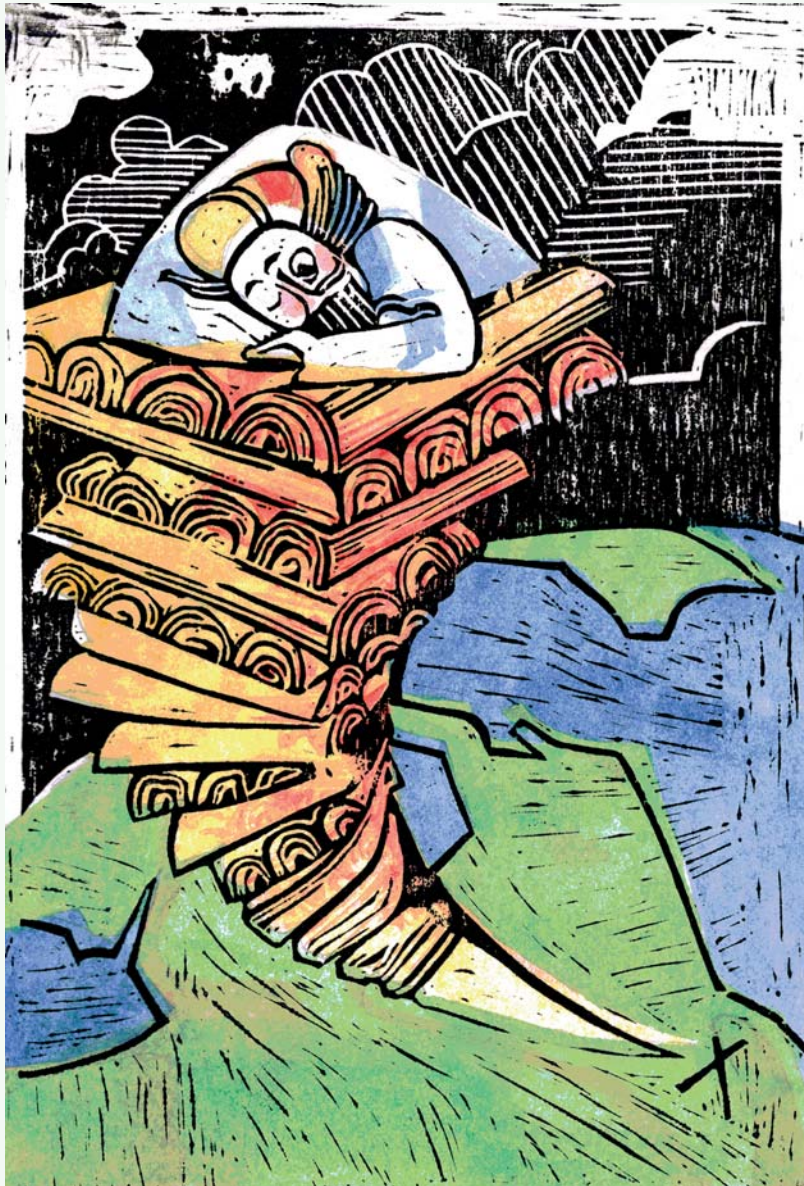
Tym razem opowiem ci, drogi gościu, jak stawiałem ten oto dom. Narąbałem drewnianych bali, namachałem się przy tym solidnie, ale zmęczenia nie odczułem, mało tego, wziąłem się zaraz za wyrąb drzew na kolejne chaty: dla sąsiada, brata, swata, kuma z kumą, dla swoich i nie swoich.

Krótko mówiąc, nazbierałem budulca – a dom, jak widzisz, jest porządny i zbudowany jak trzeba.

Zacząłem myśleć: Jak drewno do domu dostarczyć? Konie mam wychudzone i żeby zwieźć całość materiału potrzebowałbym dużo czasu. Ułożyłem, więc, bale wzdłuż drogi prowadzącej wprost do wsi, poukładałem je w jednym rzędzie, od jednego krańca do drugiego. Poczekalem, aż wszyscy położą się spać, ażeby komuś się nie narazić i zgorzenia nie czynić.

Oto już noc, wokół cisza i spokój. Z całej siły uderzyłem siekierą w ostatnią kłodę! Kłoda podskoczyła do góry, ale nie ona jedna, wszystkie obróciły się i stanęły sztorcem. Stały tak przez chwilę, a potem raptownie przekreśliły się, aby znowu odwrócić się, ponownie okręciły się i tak po kolei stopniowo, tym sposobem, zmierzały do mojego domu. Na podwórzu ułożyły się tworząc wysoki stos.

Rozejrzałem się – wszyscy śpią. Pora nocna podpowiadała mi, że jeszcze dużo czasu upłynie, zanim nasi wstaną. Popatrzyłem,



ilustracija: Svetlana Varygina

a moja stara chata cała się trzęsie – to żona oczywiście chrapała. Chciałem postukać, ale obawiałem się ją zbudzić, jak nic, zdzieliłaby mnie lub rzuciłaby czymś.

Wspiałem się, więc, na kłody na samą górę i zasnąłem. Spałem mocnym snem. Rankiem przebudziłem się – pomyślałem, że pora działać. Dobrze jednak, że wybudziłem się nie od razu i nie całkiem do końca – trwałem jakby w pół śnie. Patrzę, a moi sąsiedzi i krewni wytoczyli bale spode mnie, wzięli ile komu potrzeba, a ja wysoko, jak na cokole-podpórce, leżę w głębokim śnie i nawet melodie nosem wyświstuję!

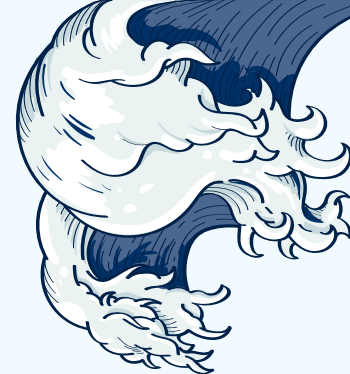
Szybko ręką chwyciłem jedno oko i połowę ust. Jedną połową śpię, a drugą połówką wybudziwszy się, delikatnie półgłosem, żeby samego siebie nie obudzić, wołam:

– Swachy, sąsiadeczki! Przynieście drabinę i liny – ratujcie to moje prowizoryczne posłanie!

Przyzwyczailem się do zdrowego, głębokiego snu. Jeśli zasnę gdzieś na wysokości, bujając w przestworzach i przychodzi pora wstawania, to po prostu staram się wybudzać stopniowo, bez zbędnej nerwowości. Kiedy wreszcie się obudzę, to złażę na dół, a jak całkiem otworzę oczy, to okazuje się, że jestem już na ziemi, czy to na dachu jakimś.

Zdarzyło się onegdaj, że zasnawszy twardo, spałem jak suseł na wyżce. Nie obudziłem się nawet wtedy, gdy mnie wiatr poderwał i zaniósł do miasta. Wylądowałem na wieży strażackiej, na samej kopule, gdzie znajdował się alarm. Obudziłem się, a poniżej – hałas, jakaś wrzawa, ludzie zaniepokojeni w panice biegają. Szukają miejsca zarzewia? Oczywiście mnie za sygnał alarmowy wzięli. Nawet nie pobili – pozwolili mi wrócić do domu. Tylko policjant zdał ze mnie rubla, ukarawszy grzywną za spanie w niedozwolonym miejscu.

Jak po dorszach w morzu chodziłem



Mieliśmy jednego kapitana, nazywał się Kula. Pewnego razu Kula zaczął snuć opowieść:

– Przeływałem obok Murmana (miasta Murmańsk). Leżę w mojej kajucie. Maszyna pracuje sprawnie, jak należy, ale wyczuwam nagle, że nie ma ciągu, zwalnia. Wyszedłem na mostek, spojrzałem: stoimy.

– Co za historia? Jaka przyczyna?

Spojrzałem na rufę, a tam na sporej szerokości od strony śruby – dorsze, wyraźnie ogłuszone, wyskakują ponad taflę wody, lśnią srebrem. Śruba napędowa obraca się i rozbryzguje ryby, a statek – stoi w miejscu. Widocznie natrafiliśmy na ławicę dorsza!

Marynarze uczepili się mnie, jęcząc:

– Pozwól nam, kapitanie, rybę wziąć. Tyle dobra niepotrzebnie się zmarnuje! Ładownie przecież są puste!

No dobrze, pozwoliłem. Zapełniliśmy statek rybą. Przez całą zimę ją jedliśmy i swoim przyjaciołom dawaliśmy na poczęstunek.

Ale co tam kapitan Kula!

Ja sam wyskoczyłem raz małą łódką na ocean (było to też w Murmanie). Pozostawałem wtedy nieco w tyle za naszą rybacką grupą,





Ilustracija: Vladislav Poleschuk

gdyż zdrzemnąłem się trochę, i już śniłem piękny sen, gdy będąca w ruchu łódka nagle się zatrzymała. Niewiele brakowało, a wypadłbym za burtę. Przetarłem oczy. Okazało się, że całym pędem i na skutek nawietrznego kursu łódki wpadłem na ławicę dorszy.

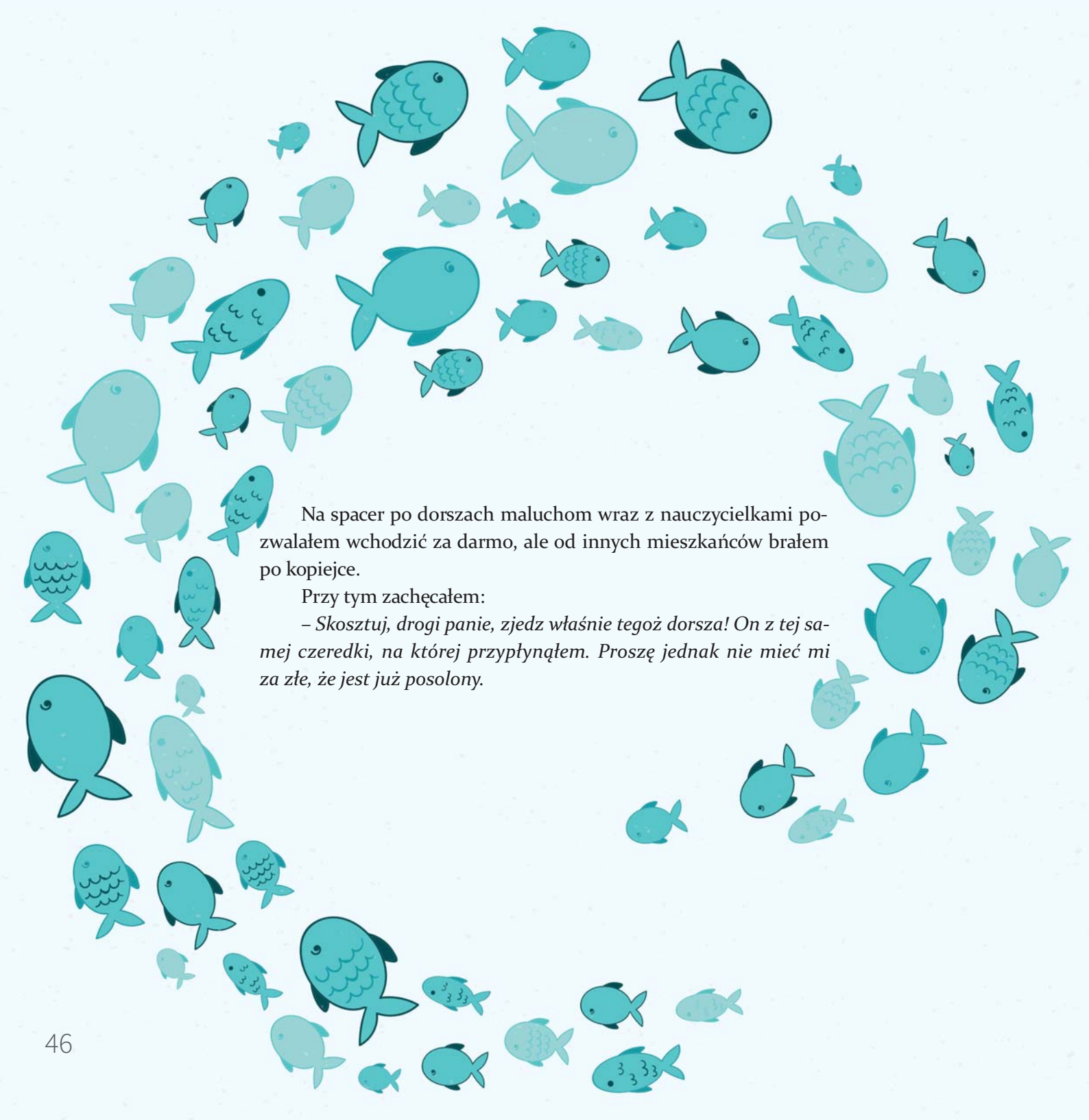
W niepokój nie popadłem, bo i po co się denerwować. Spojrzałem na ławicę, zmierzyłem ją wzrokiem – wyszło około pięciuset kilometrów. Natomiast jej grubość określiłem za pomocą długiego kija – było dwadzieścia pięć metrów. „*Gra warta świeczki – pomyślałem – można działać*”.

Tymczasem falująca toń na ławicę dorszy różnego rodzaju drewno naniosła. Skleciłem z niego chałupę, rozpałem ogień, ugotowałem uchę. Wszędzie pełno ryby. Na rybie jadę, ryby gotuję. Pojadłem i pospałem, pospałem i pojadłem. Dorsz mnie i karmi, i wiezie.

Nadszedł czas powrotu do domu. Ławica, jak raz, zawróciła na północ. I popłynęliśmy na Ocean Arktyczny, mijając po drodze Nową Ziemię. Na krach lodowych nadpływających z przeciwnego kierunku, z pomocą szkarłatnych chusteczek, które żonie wiozłem w prezencie z Murmanu, stawiałem swoje znaki. Trochę pokręciłem się po okolicy i postanowiłem wracać do domu. Od całości ławicy odgrodziłem deskami klin szerokością blisko pięciu kilometrów. Pośród pływających ryb wypatrzyłem rybę-liderkę i zarzuciłem jej uzdę. I tak oto dobrze się urządziłem! Kieruję ławicę tam gdzie chcę, wodzami ją koordynuję. Skręciłem w kierunku domu. Drogę przebyłem szybciej, niż niejeden parowiec.

W mieście, zacumowałem przy rybnym molo. Rozpocząłem sprzedaż świeżego dorsza: nie ma świeższego od żywej ryby w wodzie.

Sprzedawałem taniej niż bogacze, grosza na każdym pudzie zrzucałem! Kupujących było wielu. Obserwatorów i chcących zobaczyć ławicę, równie dużo. To było dla nich nowe, ciekawe doświadczenie.



Na spacer po dorszach maluchom wraz z nauczycielkami pozwalałem wchodzić za darmo, ale od innych mieszkańców brałem po kopiejce.

Przy tym zachęcałem:

– Skosztuj, drogi panie, zjedz właśnie tegoż dorsza! On z tej samej czeredki, na której przyплыłem. Proszę jednak nie mieć mi za złe, że jest już posolony.

Jak to jednocześnie w dwóch miejscach gościłem

Różne bywają w moim życiu chwile: nieraz jest tak, że nikt mnie nie niepokoi, nigdzie nie woła, siedzę wówczas w domu i rozmawiam sam ze sobą: w takich momentach rzadko się wyklócam, częściej zgodnie wypytuję i słucham siebie. Z porządnym człowiekiem dobrze przecież porozmawiać.

Myślisz, że umiem rozmawiać wyłącznie ze sobą? Nie, nieraz jest tak, że mogę przebywać jednocześnie w różnych miejscach. Zdarza się, że tutaj jest jakoś niezręcznie, bo chcą zaprzęgnąć do roboty, której ja, na przykład, nie chcę wykonać. Wtedy niby poddaję się i zostaję, ale tak naprawdę, to rozdwarzam się do tego stopnia, że i tutaj jestem i uciekam się do rozmowy z kimś obok, na stronie. Nierzadko po prostu przysypiam sobie. Tylko to spanie, to też nie całkiem sen, bo połowa mnie jest w pracy lub tkwi w jakiejś dyspucie i dopiero druga połówka mojego „ja” tak naprawdę drzemie.

Kiedy indziej, natomiast, ludzie zaczynają mi zaszczyty okazywać, wraz z żoną w odwiedziny zapraszają. Zwłaszcza w okresie świąt z różnych stron proszą w gošcinę i to nie zwyczajnie każą przyjść, ale po prostu błagają, zmuszają, za ręce ciągną.

Po adresem innych miejscowi często wołają:

– *Ze śpiewami obchodźcie nasze wrota z dala!*

Moja żona i ja nigdy nie słyszeliśmy takiego odezwania, wszyscy kłaniając się, grzecznie proszą:

– *Usiądźcie, przyłóżcie się i porozmawiajcie, popytajcie trochę!*

Tak więc, zapraszają w odwiedziny, ale do różnych wiosek. Moja połowica chciałaby udać się tam, gdzie herbatą częstują, a ja chciałbym do innego siola, gdzie mnie piwem podejmą. Co robić, przecież się nie rozerwę.

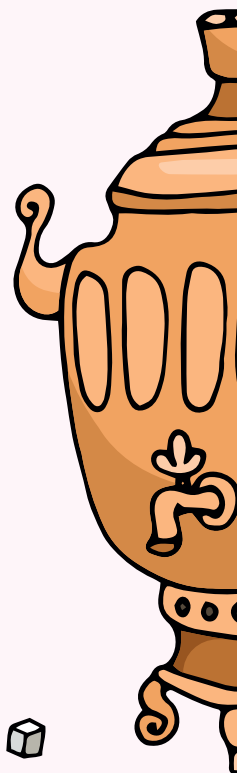
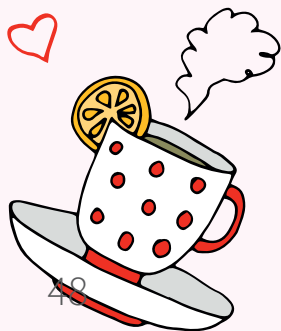
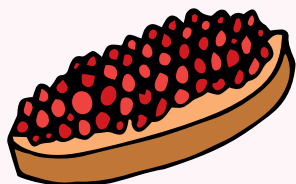
Jednak bez zbędnych sporów małżeńskich udało mi się sprawy pogodzić: po prostu rozdziwiłem się, i to do takiego stopnia, że jestem tutaj z żoną, a jednocześnie do wybranej przeze mnie wsi na piwo spieszę.

Przyszedłem tam, a tam pełno piwa przygotowano, obficie w wino się zaopatrzone. Przyszedłem z żoną tutaj, a tu samowar już nastawiony. Ja obiema swoimi połówkami w jednakowym stopniu słyszę i widzę, ale dla sprawdzenia językiem poruszam i mruczę. Żona zwróciła się do mnie w te słowa:

– *Co ty, mężu, bez sensu gadasz?*

A jakże mam z sensem mówić, kiedy ja tu i tam jednocześnie jestem? Tutaj, z gospodarzami witam się podając rękę, pozostałym gościom kłaniam się ogólnie, aczkolwiek uprzejmie. Tam, natomiast, przywitałem się serdecznie nie tylko z właścicielami domu, ale również z przyjaciółmi.

Częstować zaczęli, no cóż, początkowo odmawiam: tutaj – rezygnuję z herbaty, tam – z piwa i wina. Tak naprawdę dla przyzwoitości jedynie odmawiałem – trwało to jakąś godzinę. Potem tutaj szklanek herbaty wziąłem, zacząłem łyżką mieszać, a tam chlapanłem piwa szklanek, wódki szklaneczkę, no i wina szklanicę. O herbacie, oczywiście, zapomniałem. Tutejsza gospodyni pyta:



– Kumie Malino, dlaczego łyżką tylko mieszasz, cukru nie bierzesz, herbaty nie pijesz?

A ja mam usta gorzałą zajęte, nie mam czasu na herbatę, ale wyjaśniam:

– Jeśli siedemdziesiąt pięć razy zamieszasz w szklance, herbata będzie słodka nawet bez cukru. Tylko mieszać musisz bez liczenia: jeśli więcej lub mniej niż siedemdziesiąt pięć razy zakręcisz, słodyczy nie będzie.

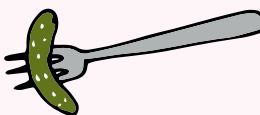
Oto wszyscy zaczęli tutaj łyżkami „pracować”, tylko dzwonienie się rozlega. A ja tymczasem, tam do kумы Kapuścichy przysiadłem się. Kapuścicha – baba ładna, tęga jak brukiew. Wszystko idzie jak trzeba. Tutaj piję herbatę od niechcenia, z przymusu, rozmowę zaś prowadzę milcząco. A tam język rozpuściłem, słowami sypię, za słowotokiem i własnymi myślami ledwo nadążam, za stołem biesiadne rozmowy wszcząłem. Zaczęli przepijać do mnie, wznosząc puchary: a to kuma-gospodyni, a to swat-sąsiad, a to kuma Kapuścicha. Wstałem, pokłoniłem się i za zdrowie wszystkich wypilem. Tak i tutaj musiałem od tutejszej gospodyni szklankę gorącej herbaty przyjąć, a zimną wylałem przez okno. Moja baba do mnie uśmiecha się:

– Och, męzulku, jaki ty niczego sobie dzisiaj, nawet od herbaty twoje oczy błyszczą i śmieją się!

Słów żony słuchałem z rozdziawionymi ustami i jedynie coś bąknąłem, rzuciłem w odpowiedzi słówko! Tam z piwem i wódką „zabawa” jak raz poszła. A tu gospodyni i goście zdążyli jedynie sparzyć się herbatą. Cóż, dla chłopów, choć i trzeźwych, zawstydzenie nie jest uczuciem miłym, dlatego też chłopiska ryknęły zgodnym śmiechem:

– No i masz Malinę! Milczał, milczał i przemówił!

Tymczasem tam następną szklanką częstują, tam piję, tam kumę Kapuścichę chwyciłem i w tany ruszyłem, a tu cała biesiada się trzęsie ze śmiechu, sądny dzień.



Taniec sprawił, że zakręciłem się i zamiast Kapuścichy przytuliłem własną babę. Moja ślubna zarumieniła się, jak na pierwszym spotkaniu, i mówi:

– A... ty co robisz, przecież ja, żona twoja!

Stąd przenoszę się – tam, do Kapuścichy: tam tańczę, a tu pot wycieram. Od spokojnego siedzenia tutaj, od tańca tam, od milczenia i wesołej biesiady, od herbatki i alkoholu zakręciło mi się w głowie. Zacząłem zapominać, co jest tutaj, a co tam. Tam trzeźwy wydawałem się, dlatego też wszyscy pijani dziwiąc się, wołali do mnie:

– Oj twardyś ty, masz mocną głowę, Malino! Spójrzcie no, baby, dziewczyny, na Malinę: pił tyle, co my, a wcale po nim nie widać.

Tutaj, z kolei, pijany wydawałem się, tutaj chichoczą:

– Ale oszust, ale obłudnik z Maliny! Herbatę z nami pił, a wygląda jak pijany!

Po tych słowach, kumę – tutejszego gospodarza, nagle olśniło, szepcze do mnie cicho:

– Dajże i mnie tyk tej radości.

Jak własnego ojca chrzestnego nie uszanować?

Zacząłem stamtąd podawać kumowi szklankę za szklanką. Kum mój niewiele mógł wypić, słabą głowę miał, dlatego też wkrótce zaczął chodzić na czworakach po izbie. Ja tam z Kapuścichą w parze kadryla wywijam. Tutaj siedzę, żeby rozwiać wątpliwości żony. Odległość pomiędzy wioskami, w których byłem gościem, wynosiła pięć wiorst, jeśli nie liczyć, oczywiście, objazdów. A ja zmęczony miotam się i staram, by nie pozostać w tyle za innymi uczestnikami tamtejszej gościny – bo szkoda by było, ale i od tutejszej nie mogę wymigać się, bo tu jest moja baba.

Tam tańczę, stamtąd kumowi piwo noszę, jesteśmy z kumem już całkiem pijani, zalani w trupa. Nasze baby chichoty odłożyły na bok i wyklinając, wzięły się za nas. My z kumem, nie w ciemię bici, ale pi-



ilustracja: Dmitrii Sazhin

jani w betkę, od babskich wyzwisk jak od złych gzów opędzamy się. Baby nie pozostają nam dłużne, wrzeszcząc drą się:

– Dajcie nam też piwa! Sami upili się, a nam nawet kapelki skosztować nie dali!

Wraz z kumem jesteśmy całkowicie zamroczeni: nad nogami i rękami nie panujemy, języki nam się plączą, za to głowy są jeszcze całkiem sprawne – myśli w nich się kłębią, biegną, na przykład, ku temu, co powinniśmy teraz zrobić lub ku temu, co rozsądek podpowiada. Babom wyjaśniamy:

– Baby, my po prawdzie powiemy jak jest. Ten stan, to nie od wypitki, ale z picia herbaty. My przecież z wami siedzieliśmy, razem piliśmy herbatę, a okna były otwarte. W tamtej wiosce piwo warzyli, wino pili, wiatr to wszystko tutaj przyniósł. Tym pijanym wiatrem nas przewiało i całkowicie rozebrało. Ale w rzeczywistości, dla was bab, jest lepiej, kiedy wasi mężczyźni są weseli.

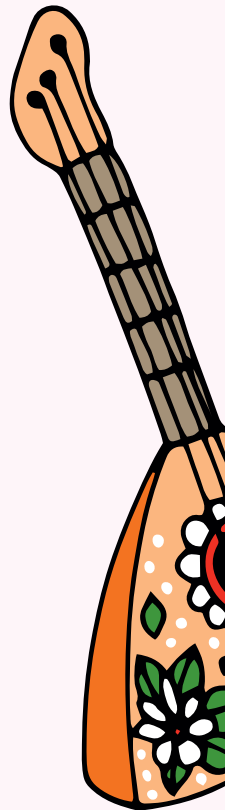
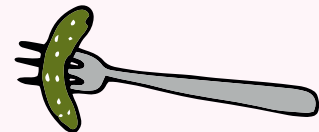
Kobiety mają ochotę wypić, toteż gderają:

– Jesteście kłamczuchami: i kum, i Malina. Wymyślacie wierutne bzdury, pleciecie dyrdymały. My piwa nawarzymy i jego zapach przez wioski puścimy, waszą prawdomówność sprawdzimy.

Jak powiedziały, tak zrobiły. Wspólnie przygotowały piwo; do sąsiednich wiosek z zaproszeniem poszły:

– Pokornie prosimy o popróbowanie naszego piwa, lecz bez fatywowania się do nas, po prostu siedząc w domu. Jedynie odemknijcie okna i otwórzcie usta. Nasze piwo dotrze wraz z wiejącym w waszym kierunku wiatrem.

Zbliżał się wieczór, zawiął odpowiedni wiatr. Kobiety naczynia z piwem podały wprost wiatru, a nas wezwały na poczęstunek i skosztowanie.



Nie mogłem się powstrzymać, więc wypilem trochę i rozdzieliłem się, jak wcześniej, na dwoje: jeden ja jestem cały tutaj, a drugi, równie cały, już pospiesznie przez wieś gonię. Nasza wieś jest najtrzeźwiejsza ze wszystkich – u nas pijany jest tylko ten, kto pije, a tam nawet ci, którzy nie chcą pić, buzię zamykają i przez nos jedynie oddychają.

Z sąsiednich wiosek dają sygnały: mężczyźni machają czapkami, baby potrząsają spódnicami, by z wiatrem posyłać im więcej „pijanego bukietu”. Znaleźli się też krzykacze, ich wrzask dochodził aż do naszej wsi:

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej! Jeszcze lepiej w domu siedzieć i gościem być. Dziękujemy za poczęstunek, w przyszłości również waszymi gośćmi będą siedzący u siebie w domu!

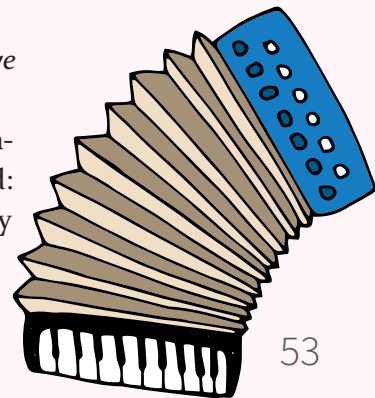
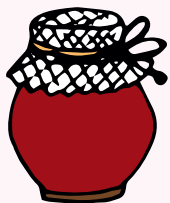
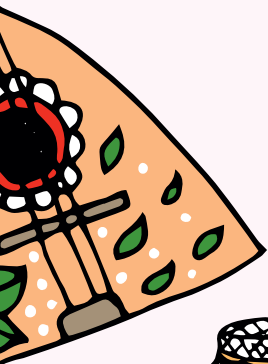
Wiatr robi swoje, „odurzające tchnienie” krąży po wsiach. Wioski dookoła już pijane, zaczynają się śpiewy i tańce korowodowe.

Tymczasem coś się dzieje w lesie i na polach! Przybyli tu myśliwi z miasta – owionął ich „alkoholowy podmuch”, a że głowy u miastowych słabe, szybko odurzyło ich. Nagle myśliwi zauważyli pijaną zwierzynę, chcieli strzelać, ale nie pamiętali, którym końcem fuzji się to robi. Chwycili, zatem, zwierza za łapy i ciągną do naszej wsi. Myśliwi z nóg padają, a zwierzyna – niedźwiedzie, wilki i kilka lisów – wydają się być silniejsze od nich w łapach. W myśliwych z upojenia gniew wyparował, stali się weseli. Teraz, na odwyrtkę, zwierzęta myśliwych chwytają i wloką do wsi. Tutaj w łapy pijanych psów przekazują.

Myśliwi chwalą się:

– Spójrzcie, jacy jesteśmy odważni, jacy sprytni. Do wioski żywe niedźwiedzie, wilki i lisy przypędziliśmy!

„Odurzający wiatr” przysłużył się nam wielokrotnie. Jak tylko jacyś zbóje lub rabusie zmierzali w stronę naszej wioski, na przykład: urzędnicy, popi, policjanci – wysyłaliśmy im na spotkanie „pijany wiatr”, a ich samych podpijanych odwoziliśmy z powrotem do miasta.



Jak kupcowa pościła

Czy naprawdę kupcowa była tak pobożna i taki poprawny żywot wiodła, że człowieka może ogarnąć wzruszenie, a jej postępowanie rozczulić?

Oto niegdyś, w okresie ostatkowego święta Maslenicy, kupcowa z rana zasiadła do śniadania – jadła bliny. Najeść się naleśnikowymi plackami nie mogła: na wstępie raczyła się blinami ze śmietaną i kawiozem, z łososiem i z grzybami, potem ze śledziem i drobno posiekaną cebulką, po nich z cukrem, konfiturą i z różnymi dodatkami – jadła, popijała i wzdychała.

Wszystko to kupcowa robiła z należytą bogobojnością: pojadła, pojadła, westchnęła i znowuż jadła.

A kiedy nadszedł post, no cóż, kupcowa pościć zaczęła.

Rano otworzyła oczy, herbatę chce pić, ale nie wolno – post. Obzątek nakazywał, by w czasie postu nie jeść ani nabiału, ani mięsa, a kto ściśle przestrzegał postu, nie mógł spożywać nawet ryb. A kupcowa przecież pościła z całych sił – ni herbaty nie piła, ni cukru łupanego ani w kostkach nie używała, za to stosowała cukier specjalny – postny, coś w rodzaju cukierków.

Więc pobożna kupcowa wrzącą wodę z miodem zaczęła pić – wypila pięć garnuszków, potem pięć kubków z postnym cukrem, następnie pięć kubków z sokiem malinowym i pięć porcji z sokiem wiśniowym, tylko nie myśl, że z nalewką, co to, to nie – z sokiem; wszy-



ilustracja: Anna Vermolina

stko zjadła czarnymi sucharkami. W trakcie gdy gorącą wodę piła, a śniadanie zdążyło ułożyć się, zjadła kupcowa talerzyk kapusty solonej, talerzyk startej rzodkiewki, grzybków – drobnych rydzy talerz i z dziesięć ogórków kiszonych – wszystko popijając białym kwasem chlebowym. Zamiast herbaty zaczęła pić zbiteń – korzenny napój na melasie.

Czas jednak szybko płynie – nadeszło południe, a wraz z nim pora obiadu. Obiad oczywiście jest postny! Na początek rzadka owsianka z cebulą, zupa grzybowa z kaszą i polewka cebulowa. Na drugie danie: smażone mleczaje-gołąbki, pieczona brukiew, placuszki z solą, kasza z marchewką oraz sześć innych kasz z różną konfiturą, ponadto trzy kisiele: kwaśny, z grochu i malinowy. Posiłek zakończyła gotowanymi jagodami z rodzynkami. Odmówiła jednak makowca.

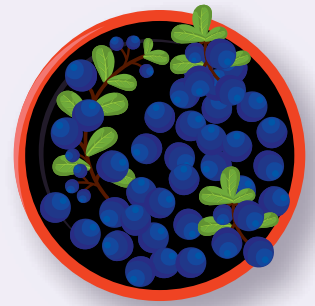
– Nie, nie, makowca nie będę jeść. Nie chcę przez cały post mieć choćby jednego ziarenka maku w ustach.

Po obiedzie poszcząca kobieta wypiła napar z żurawiny z marmoladą.

A czas pędzi. Po popołudniowym naparze przyszła kolej na podwieczorek. Westchnęła kupcowa, nie ma rady, trudno – trzeba pościć! Zjadła grochu moczonego z chrzanem, borówkę z mąką owsianą, brukiew gotowaną na parze, polewkę cebulowo-chlebną, a na koniec kiszone jabłka z gruszkami zalane kwasem chlebowym.

Bezbożny człowiek nie zniesie takiego postu – pęknie z przesytności jedzenia. A kupcowa do samej kolacji pije napar z suszonych jagód. Trochę popracuje i dalej pości.

Oto i kolacja została podana. Wszystko to, co zjadła na obiad, w równym stopniu zjadła i na kolację. Nie mogła się oprzeć i wcisnęła jeszcze kawałek ryby – leszcza dziewięcioletniego.



Położyła się kupcowa do łóżka i spojrzała w kąt, a tam leszcz, spojrzała w drugi kąt izby – i tam leszcz! Zerknęła na drzwi – również leszcz! Spod łóżka wychodzą leszcze, wszędzie wokół leszcze – do tego ogonami merdają! Kupcowa ze strachu krzyknęła. Przybiegła kucharka, dała jej piroga z grochem – kupcowej ulżyło.

Przyszedł lekarz, obejrzał chorą i rzekł:

– Po raz pierwszy widzę, żeby ktoś objadł się aż do stanu białej gorączki, poalkoholowych omamów i urojeń.

Sprawa jest zrozumiała i prosta: lekarze choć są ludźmi wykształconymi, niestety na pobożnych i bogobojnych uczynkach nie znają się wcale.



SPIS TREŚCI:

Bania w morzu	2
Białe niedźwiedzie	7
Jak niedźwiedź nas od najazdu popów uratował	12
Modniś i modnisia	18
O tym, jak na rzece porządek zaprowadziłem	21
A wszystko przez pchłę	37
Aby samego siebie nie obudzić	40
Jak po dorszach w morzu chodziłem	43
Jak to jednocześnie w dwóch miejscach gościłem	47
Jak kupcowa pościła	54



Ilustracija: Polina Kraeva

Autor: Stiepan Pisachow

Tłumaczenie: studenci Akademii Pomorskiej w Słupsku
(członkowie Studenckiego Koła Naukowego „Horyzonty Rosji”)

Opieka merytoryczna: dr Tatiana Pudowa, dr Piotr Gancarz

Korekta i redakcja tłumaczenia: dr Grażyna Lisowska

Projekt i wykonanie ilustracji i kolorowanek:

studenci Archangielskiego Koledżu Kultury i Sztuki
(Svetlana Varlygina, Olesya Moiseyenko, Dmitrii Sazhin, Yaroslava Dovgomelya,
Polina Popova, Anna Yermolina, Irina Karpova, Albina Abaidullova, Vladislav
Poleschuk, Anastasia Popova, Polina Kraeva, Darina Zhukova), Freepik.com

Obróbka graficzna kolorowanek: Anna Denisenko, Alexandra Krivoruchko,
Svetlana Zinkova

Opieka artystyczna: Tatyana Yermakova, Svetlana Zinkova

Koordynacja: Joanna Jusianiec, Agata Pietruszewska, Alexandra Ilatovskaya



Książka powstała i została opublikowana w ramach projektu
„Stiepan Pisachow – nietuzinkowy autor bajek dla dzieci”
współfinansowanego ze środków
Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia oraz Miasta Słupsk
zrealizowanego przez stowarzyszenie Kulturalny Punkt Zapalny
we współpracy ze Słupskim Ośrodkiem Kultury, Akademią Pomorską w Słupsku
i miastem Archangielsk.